

Rémi Brague: Nadużycie autobusu

Uważając, że wiara w Boga jest kłopotliwa, niewierzący jest zainteresowany nieistnieniem Boga



Uważając, że wiara w Boga jest kłopotliwa, niewierzący jest zainteresowany nieistnieniem Boga - tekst ukazał się w 6. numerze Teologii Politycznej

KARNE
CZY
BOSKIE?

wokół książki
Rémi Brague'a „Prawo Boga”

Przewodni: dr Dariusz Karłowicz
Udział wzięty:
Prof. Rémi Brague
ks. Prof. Franciszek Longchamps de Berier
dr Tomasz Terlikowski

13/04 // 18.30

Nowa Biblioteka
Uniwersytetu Warszawskiego
sala 316, // III piętro,
ul. Dobra 56/66, Warszawa

Spotkanie z cyklu
Francuzi w XXI wieku

Zapraszają: Teologia Polityczna
Ośrodek Kultury Francuskiej
i Studia Francuskojęzyczne UW
oraz Instytut Francuzi

www.teologiapolityczna.pl www.ikf.uw.edu.pl

Przyjdź na spotkanie "Karne czy

**Boskie" z Remim Brague'iem wokół książki *Prawo Boga* - 13.04, g.
18.30, Nowy BUW (s. 316, III Piętro)**

Chciałbym wypowiedzieć się w sprawie pewnego hasła, które według mnie może nas wiele nauczyć o sekularyzmie. Zapiszę je tu w takiej formie, w jakiej zostało opublikowane, w oryginalnych kolorach (przynajmniej w takim przybliżeniu, na jakie pozwala mój komputer).

BOGA PRAWDOPODOBNIENIE NIE MA.

PRZESTAŃ SIĘ JUŻ MARTWIĆ I CIESZ SIĘ SWOIM ŻYCIEM[1]

Tekst ten stanowi hasło i podsumowanie kampanii rozpoczętej w styczniu 2009 r. Jej inicjatorką była Ariane Sherine. Ta młoda kobieta, urodzona w 1980 r., jest dziennikarką i autorką scenariuszy telewizyjnych. Jej ojciec jest unitarianinem, a matka Parsyjką[2]; żadne z nich nie praktykuje. Kampania z czasem uzyskała wsparcie wielu sławnych ludzi. W szczególności Richard Dawkins wykorzystał nadarzącą się koniunkturę.

Hasło przez pewien czas widniało na autobusach w Londynie i innych dużych miastach Wielkiej Brytanii. W ślad za nim w brytyjskich mediach pojawiło się wiele analogicznych haseł, w podobnym stylu. Kampanię podjęło też kilka innych krajów europejskich, zaś samo hasło było wielokrotnie tłumaczone, bardziej lub mniej dosłownie.

Zamierzam poddać to hasło szczegółowej analizie. W tym celu podzielę je na części i krótko omówię każdą z nich, zachowując kolejność[3].

Pierwsze zdanie jest zapisane wielkimi literami. Różowy kolor podkreśla, że to dobra wiadomość. Odtąd mamy patrzeć na życie przez takie właśnie okulary. To zdanie głosi nieistnienie Boga.

„Nie ma”. Nie przedstawiono tu żadnego argumentu przeciwko istnieniu Boga. Nic dziwnego: nie możemy oczekiwać pełnego wykładu, mając do czynienia z krótkim sloganem.

Założona tu koncepcja istnienia to „jest” vs „nie ma”. Czy takie ujęcie jest adekwatne w odniesieniu do Boga? Nie mamy tu powiedziane: Bóg nie istnieje, Bóg nie ma własności istnienia. Zamiast tego [mówi się]: w zbiorze tego, co jest, nie znajdziemy żadnego boskiego bytu.

Zauważmy ukryte w podtekście założenie: Bóg należy do przedmiotów, o których możemy trafnie powiedzieć, że „się znajdują”. Ponieważ znam trochę arabski, odniosę się tutaj do słowa „istnieć” używanego przez filozofów piszących w tym języku – słowa *mawǧūd*, które dosłownie oznacza „znalezione”. Boga nie „znajdujemy”.

Pytanie, gdzie dokładnie mamy Go szukać, jeśli chcemy mieć jakiegokolwiek szanse, by Go znaleźć? Pytanie to jest ważne, jako że szukanie w złym miejscu wyklucza wszelkie szanse znalezienia. Szukanie dźwięku wśród kolorów z zasady przynosi marne rezultaty. Jednakże to pytanie w ogóle nie pada. Jak już mówiłem, nie pozwala na to lapidarna forma ogłoszenia. Z drugiej strony, można zapytać, czy ogłoszenie to właściwe miejsce na stawianie tak fundamentalnych pytań.

„Prawdopodobnie”. Proponuję trzy wyjaśnienia, dlaczego pojawił się tutaj ten przysłówek. 1) Rzecz wydarzyła się w Wielkiej Brytanii, gdzie stwierdzenia nazbyt oględne, czy jak Państwo wolą – litoty, są na porządku dziennym. 2) Zasady rządzące rynkiem reklamy wykluczają używanie zbyt kategoriycznych sformułowań. 3) Trzeciego wyjaśnienia dostarczyli sami twórcy kampanii, którzy jasno wyrazili swoje intencje: chcieli uniknąć podejrzania o to, że sami są wyznawcami – czy nawet fanatykami – ateizmu, jak to się przydarzyło ludziom, których

niemiecki poeta Heinrich Heine ośmieszył, nazywając „mnichami ateizmu” (*Mönche des Atheismus*)[4]. Trzeba docenić autorów kampanii za cnoty, którym dali tu dowód. Roztropność bowiem, przynajmniej w potocznym rozumieniu, jest niewątpliwie cnotą.

Z drugiej strony ich zalety intelektualne są chyba nie dość wysokiej próby. Niezależnie od tego, czy istnienie Boga miałyby być prawdopodobne, dowiedzione czy obalone, całą sprawę w takim ujęciu rozpatruje się w kategoriach dowodu. Słowo „prawdopodobny” wskazuje na coś, co może zostać dowiedzione, nawet jeśli jeszcze nie doczekało się dowodu. Cóż, to bez wątpienia poważna decyzja, by zaliczyć Boga do rzeczy, które można udowodnić. Taka decyzja powinna być najpierw poparta argumentacją, zanim w ogóle zacznie się szukać dowodów na istnienie Boga. Lecz znowu, slogan nie pozostawia miejsca na argumentację – tak w odniesieniu do tego podstawowego pytania, jak i w odniesieniu do kwestii istnienia bądź nieistnienia.

W niemieckiej wersji tego hasła pominięto przysłówek, lecz zastąpiono go wziętym w nawias wyrażeniem: *mit einem an Gewissheit grenzenden Wahrscheinlichkeitsgrad*, tj. „w stopniu prawdopodobieństwa, które graniczy z pewnością”. Byłoby przesadą twierdzić, że w ten sposób zyskano na elegancji. Zamiast tego osiągnięto jednak większą precyzję.

„Boga”. Nie da się stwierdzić, czy słowo „Bóg” jest tu napisane wielką literą, jako że całe hasło zapisano wersalikami. W Internecie znalazłem strony, na których to samo hasło zapisane jest zwykłą czcionką tekstową – i tam słowo to zaczyna się od wielkiej litery. Możliwe jednak, że jest to tylko kwestia konwencji. Nie wiemy, czy mamy do

czynienia z nazwą ogólną czy jednostkową. Czy to, co nie istnieje, jest jakąś bliżej nieokreśloną istotą, jak chochlik, czy raczej czymś w rodzaju osoby – wszystko jedno, czy wymyślonej, jak Baba Jaga, czy też prawdziwej, jak każdy z nas? Nie możemy się tego dowiedzieć z tekstu.

Drugie zdanie, zdanie złożone, zawiera dwa apele. Zapisane jest mniejszymi wersalikami.

Sens tego wyrażenia wzmacnia zmiana koloru: pierwsze zdanie składowe jest na czerwono, a drugie – na żółto. Czerwień to kolor czerwonego światła i znaku „Stop”. I to właśnie mamy zrobić – zatrzymać się.

„Już”. To wyrażenie jest kluczowe dla całego przekazu. Język podsuwa nam więcej środków do wyrażenia następstwa. Autorzy mogli wybrać i inne, na przykład bardziej literackie „zatem”, bardziej logiczne „toteż” albo bardziej formalne „wskutek tego”. Wybór tego właśnie słowa podkreśla pilność przyjęcia konsekwencji wynikających z założenia [wyrażonego w pierwszym zdaniu]. Jest to jednak bardziej wybór egzystencjalny niż efekt rozumowania.

To prowadzi nas do rozważenia, czy rzeczywiście mamy tu do czynienia z następstwem przyczynowo-skutkowym. Wybór, którego należy dokonać, nie pozostaje – by tak rzec – bez konsekwencji. Lecz jeśli tak, to trudno tu nie wspomnieć znanej historii pana Keunera, opowiedzianej przez Bertolta Brechta. Przytoczę ją pokrótce.

Ktoś zapytał pana Keunera: czy Bóg istnieje? Keuner na to: jeśli jest Bóg, to czy to zmienia coś w twoim życiu? Jeśli odpowiedź brzmi „nie”, możemy zapomnieć o całej sprawie. Jeśli powiesz, że tak, odpowiem ci jedno: potrzebujesz Boga[5]. Kto wyznaje, że istnienie Boga zmieniłoby jego postępowanie, ten przyznaje, że skłania się ku przyjęciu Jego istnienia. Brecht podejrzewa, że ktoś taki nie jest do końca bezstronny, że jest *zainteresowany* istnieniem Boga. W naszym przypadku należy odwrócić owo podejrzenie. Uważając, że wiara w Boga jest kłopotliwa, niewierzący jest zainteresowany nieistnieniem Boga. On także nie jest już bezstronny.

Dodatkowo moglibyśmy wskazać, że obecność przysłówka „prawdopodobnie” w pierwszym zdaniu podważa siłę drugiego zdania. Jeśli zaprzeczymy przypuszczenie, czyż może z tego wyniknąć jakieś twierdzenie? By być dokładnym, trzeba by raczej powiedzieć: prawdopodobnie powinieneś przestać się martwić, prawdopodobnie powinieneś cieszyć się życiem.

„Przestań się martwić” zamiast „nie martw się”. Ten zwrot sugeruje, że do tej pory się martwiliśmy. Był taki czas, kiedy ludzkość była zatroskana i zamartwiała się z powodu idei istnienia bogów. Przeszłość oznacza tu cały ogląd historii. Mamy się uwolnić od przeszłości, która trwa do dzisiaj, a dokładnie do chwili, w której przeczytamy ten napis, zrozumiemy jego znaczenie i zaakceptujemy przesłanie. Wówczas klapki opadną nam z oczu i zaczniemy cieszyć się życiem.

Owa przeszłość – jak możemy się domyślać – to nie tylko historia pojedynczego człowieka, który nareszcie opuszcza sferę iluzji i cienia. Jest to też przeszłość rodzaju ludzkiego, który przez tysiące lat pogrążony był w ciemności i smutku. Jest to doprawdy dosyć fikuśna koncepcja historii.

Bóg jest przedstawiony jako ktoś, czyje istnienie skłania do ostrożności, która odbiera nam radość życia. Bóg jest tu kimś w rodzaju straszydła, czy może raczej „zabawopsuja”. Taki ponury obraz Boga wygląda raczej na karykaturę, nawet jeśli niektórzy wierzący – czy to dziś, czy dawniej – przez swoje zachowanie są za niego, przynajmniej częściowo, odpowiedzialni. Reakcja niektórych ateistów nie jest pozbawiona wszelkich podstaw. Ariane Sherine mówi, że wpadła na pomysł swojej kampanii, gdy przeczytała na pewnej fundamentalistycznej stronie internetowej groźby pod adresem ateistów, a także wszystkich niechrześcijan, że wszyscy oni będą się smażyć w piekle. Nie mam powodu, by wątpić w jej słowa. To, że wśród chrześcijan, teraz i dawniej, znajdzie się niejeden głupiec, to żadna nowina.

Pozwolę sobie jednak zauważyć, że nie jest zbyt uczciwie ułatwiać sobie sprawę atakowaniem takiego papierowego Boga. Ale na razie to zostawmy.

„Martwić się”. Angielskie słowo *to worry*, jak się niedawno dowiedziałem, jest spokrewnione z niemieckim *würgen*, „dusić (się)”. We wczesnym okresie *to worry* miało także znaczenie aktywne: „atakować”, „napastować”, zaś obecnego, nieprzechodniego znaczenia

nabrało około 1860 roku. Tutaj zostało użyte w tym drugim znaczeniu. Niemniej migotanie obu znaczeń wskazuje na podwójny charakter zjawiska.

Dzięki temu słowu stykamy się z zagadnieniem poważniejszym z filozoficznego punktu widzenia i stąd bardziej godnym uwagi, niż to miało miejsce do tej pory. Za jego pośrednictwem cofamy się do źródeł antycznego filozoficznego ateizmu – do Epikura i Lukrecjusza. Martwienie się (*worrying*) to współczesny odpowiednik *tarakhè*, co oznacza „niepokój”. W epikureizmie punktem odniesienia jest ataraksja. Religia niweczy spokój duszy, a spokój powinien być chroniony za wszelką cenę[6]. Dlatego według Epikura każde wyjaśnienie danego zjawiska jest dobre, jeśli tylko obywa się bez boskich istot.

W XVII wieku Thomas Hobbes tchnął nowe życie w starożytny epikureizm, przenosząc krytykę religii z poziomu jednostki na poziom społeczeństwa. Stwierdził, że religia jest szkodliwa dla pokoju i zgody między podmiotami. Hobbes opiera się na doświadczeniu angielskiej wojny domowej, którą interpretuje jako wojnę religijną. Także dzisiaj wielu ludzi dopatruje się w tak zwanych wojnach religijnych przyczyn współczesnego ruchu sekularyzacyjnego. Takie wytłumaczenie to już wręcz klasyka[7].

Nie jestem historykiem, lecz muszę wyznać, że taka etiologia wydaje mi się podejrzana; wygląda mi to po prostu na legitymizację bytu, który leży u podstaw tego ruchu. *Is fecit cui prodest* – a konkretnie nowoczesne państwo, które przyznało sobie status zbawcy, ingerującego, by rozdzielić walczące strony. Już samo pojęcie wojen

religijnych jest raczej mylące, skoro w XVI wieku religia nie stanowiła jeszcze nie była jeszcze postrzegana odrębnie od polityki czy życia społecznego[8].

Przechodząc do sedna, chciałbym zadać jedno proste pytanie: co, jeśli mamy dobry powód, by się martwić? Głupio jest martwić się niczym, nie ma co do tego wątpliwości. Powinniśmy jednak rozpatrzeć trzy pozostałe możliwości: słusznie jest nie martwić się, jeśli nie ma do tego powodu; ale równie słusznie jest martwić się, jeśli istnieje poważny powód. I na odwrót, głupio jest się nie martwić w sytuacji, gdy jest czym.

W znanej piosence[9] pytanie *What's the use of worrying, it never was worth while* („Jaki jest sens martwić się, skoro nigdy nie było warto?”) ma pozostać prawdziwe *while you've got a lucifer to light your fag* – „póki jeszcze masz zapalkę, by zapalić papierosa”. Cóż, zarówno do palenia, jak i do maksymy o martwieniu się odnosi się ta sama zasada: obchodź się z tym ostrożnie, to może być groźne dla twojego życia. Uogólnianie tej maksymy spustoszy każde życie moralne. Jeśli bowiem chodzi o życie moralne, te sprawy zawsze należy traktować na poważnie. Już Arystoteles miał podobną intuicję, gdy w *Etyce Nikomachejskiej* nazwał cnotliwą osobę przymiotnikiem *spoudaios*, tj. dosłownie „ktoś, kto traktuje sprawy z powagą (*spoudè*)”. Wiele wieków później Kierkegaard, który prowadził głęboki namysł nad – jak to nazywał – stadium etycznym życia ludzkiego, poświęcił wiele miejsca powadze (*Alvor*), której życie nabiera dzięki rozważaniom o śmierci[10].

Zatem co, jeśli mamy dobry powód, by bać się piekła, i wobec tego słusznie się go boimy? Nie mam tu na myśli folklorystycznego wyobrażenia piekła, takiego, które pojawia się w komiksach[11], ani nawet piekła Dantego, zrodzonego w jego wyobraźni. Poeta może i powinien nadawać tworum swojego umysłu „lokalny koloryt”. Ludowe wyobrażenia piekła odpowiadają ateistom i należą do ich arsenału argumentów. Trudno nie odczuwać zażenowania, gdy się czyta opisy tego, w co niewierzący – którym na innych polach często nie brakuje inteligencji – nie wierzą, ale wyobrażają sobie, że wierzą w to wierzący.

Wiara w piekło oznacza traktowanie z pełną powagą ludzkiej wolności i jej władzy ostatecznego decydowania o definitywnym przeznaczeniu człowieka. Dokładniej, oznacza ona poważne traktowanie nie abstrakcyjnej, ogólnej ludzkiej wolności, lecz konkretnie *mojej* wolności. Nie wolno mi bowiem myśleć, że ktokolwiek inny poza mną może zasłużyć na piekło; z drugiej strony obowiązkiem każdego jest sprawdzanie siebie. I pytanie siebie, czy przypadkiem, zważywszy na okoliczności, w których żyję i pokusy, z którymi *naprawdę* muszę się mierzyć, nie jestem gorszy lub gorsza, niż mi się wydaje. I w rezultacie – czy nie jestem dobrym kandydatem lub dobrą kandydatką do potępienia. Każdy z nas musi się zmierzyć z taką możliwością: być może piekło istnieje tylko dla mnie. Być może zostało stworzone na początku czasu tylko po to, by czekać na *mnie*. Być może będę pierwszym potępionym w historii ludzkości.

Pozwólmy sobie, na potrzeby tego wywodu, zatrzymać się na poziomie, na którym ustawiają się ateści. Pozbądźmy się wszelkiej nadziei lub wszelkiego lęku w związku z tym, co nastanie po śmierci cielesnej, i spójrzmy na to życie wyłącznie w jego ramach. Nadal musimy

przyznać, że istnieje możliwość kompletnej porażki, tego, że przejdziemy przez nie zupełnie niewłaściwie, że okaże się ono nieodwracalnym błędem. Musimy też wykluczyć jakąkolwiek możliwość interwencji opatrności, która mogłaby ocalić to, co z ludzkiego punktu widzenia jest stracone. Tracąc wiarę w piekło, musimy radykalnie porzucić chrześcijański dogmat Wielkiej Soboty o zmartwychwstałym Panu, który zszedł do piekieł, by sprowadzić potępionych – co wyznajemy w słowach „zstąpił do piekieł”.

Innymi słowy, nie jestem wcale taki pewny, czy ateści mają mniej powodów do zmartwień niż wierzący. Podejrzewam nawet, że mogą mieć ich więcej. Są w bardziej kłopotliwej sytuacji niż my. A jeśli tak, to hasło Ariane Sherine nie otwiera oczu na prawdę, lecz zaślepia.

„Ciesz się”. Powstrzymam się od łatwej polemiki, sprowadzającej się do wyśmiania niewierzących jako rozpustników, którzy chcą tylko dobrze się bawić. Takie podejście jest skrajnie niesprawiedliwe. Każdy zna jakieś osoby niewierzące o wysokich kwalifikacjach moralnych. Z drugiej strony, wszyscy chrześcijanie boleśnie doświadczają wielkiej potrzeby przebaczenia, na które na szczęście mogą mieć nadzieję, jako że upoważnia ich do tego ich wiara – wszyscy bowiem mamy wiele na sumieniu...

Rada, której udzielają twórcy kampanii, jest raczej mętna. Przecież w jakimś sensie każdy chce cieszyć się życiem. Nawet najbardziej zepsuty rozpustnik i najbardziej ascetyczny święty mają ze sobą coś wspólnego. Jest to wspólne im obu pragnienie, żeby się napchać. Co prawda, każdy z nich chciałby się napchać nieco innymi rzeczami. Baudelaire w jednym ze swoich poematów prozą radzi: „[...] bądźcie ciągle pijani!

Winem, poezją lub cnotą, jak wam się podoba”[12]. A święty Wincenty de Paulo, który całe życie poświęcił łagodzeniu cierpienia ubogich, na łożu śmierci żałował, że nie uczynił więcej, choć mógł.

Z drugiej strony, powinniśmy się bliżej przyjrzeć wewnętrznej logice tej idei. Radzi się nam, by nasz związek z życiem był oparty na „cieszeniu się nim”. Kto się martwi, nie cieszy się życiem. Wobec tego, na czym polega związek z życiem takiej osoby? Gdybyśmy poszukali pozytywnego terminu, który można by przeciwstawić „cieszeniu się”, to pierwszym, co przychodzi do głowy jest „używanie” czy „użytkowanie”. Posłużymy się tu poczynionym przez świętego Augustyna rozróżnieniem pomiędzy cieszeniem się a używaniem, które wyraża on dwoma łacińskimi czasownikami *frui* i *uti*. To rozróżnienie uznaje się za kamień węgielny myśli Augustyna[13].

Zastosowana tu logika jest całkiem przekonująca. Jeśli nie ma nic poza obecnym życiem, to życie nie może być użyte do niczego innego. W rezultacie, nasz związek z życiem nie może opierać się na niczym innym niż cieszenie się.

Chrześcijanie, którzy wierzą w życie wieczne, działają według modelu: środki-cel. Pojmują życie wieczne nie jako po prostu następne po życiu na ziemi, w którym to ujęciu to drugie stanowiłoby środek do celu, jakim byłoby pierwsze. Rozumieją życie wieczne jako rozbłysk życia, w którym wypalają się wszystkie elementy śmierci, z jakimi wiąże się nasze doczesne życie – tak aby owo doczesne życie mogło zostać wchłonięte i przemienione.

Niemniej Augustyn mówił tylko o *rzeczach*, którymi możemy się cieszyć bądź których możemy używać. Życie samo w sobie, fakt bycia żywym, jest usytuowany po tej [pierwszej] stronie alternatywy: używać bądź cieszyć się czymś. Mówiąc dokładniej, nie możemy *cieszyć się* czymś. Możemy tylko korzystać z czegoś, by móc zrobić coś innego, czego nie moglibyśmy zrobić, gdybyśmy nie mieli tej pierwszej rzeczy. Korzystam z wakacji, bym mógł robić to, czego nie mogę robić, gdy pracuję. Korzystam ze swoich koneksji, by osiągnąć pozycję społeczną, która byłaby dla mnie niedostępna bez pomocy znajomych. Korzystam ze swojego zdrowia, by móc uprawiać sport. Korzystam z dobrego wzroku, by móc hobbystycznie zajmować się astronomią, czego nie mógłbym robić, gdybym był krótkowidzem... itd.

Czy jednak można sensownie powiedzieć: Skoro jestem żywy, skorzystam z tego, by móc robić to, czego nie mógłbym robić, gdybym był martwy?

Czy możemy żyć i nie cieszyć się życiem? Czy „bycie żywym” może znaczyć coś innego niż „cieszenie się życiem”? I odwrotnie, czy „cieszenie się życiem” może znaczyć coś innego niż „bycie żywym”? Jeśli coś w tym jest, to rada wypisana na angielskich autobusach jest bezużyteczna. Tak czy inaczej cieszymy się życiem. Rada „ciesz się życiem” jest tak samo absurdalna jak zalecenie: „naródź się”.

„Swoim życiem”. Ostatnie słowa hasła zawierają moim zdaniem cenną naukę. Skupiają jak w soczewce przesłanie kampanii. Proszę zwrócić uwagę na obecność zaimka dzierżawczego. Nie jest on konieczny w tym

zdaniu. Równie dobrze można by napisać: „ciesz się życiem”. Czymże innym życiem możemy się cieszyć, jeśli nie swoim własnym?

W języku angielskim w wielu przypadkach obecność zaimka dzierżawczego ma sens. *Enjoy flying* znaczy: odkrywaj nowe doświadczenie, jakim jest latanie. Nie określa się tu ani czasu, ani sposobu latania. *Enjoy your flight* znaczy: życzę przyjemnego lotu, tego lotu, teraz, dajmy na to – z Paryża do Warszawy, z tą konkretną linią lotniczą – w domyśle: mamy nadzieję, że następnym razem wybierzesz tę samą linię. *Enjoy eating* znaczy: zjedz coś, odbuduj tkanki. *Enjoy your meal* znaczy: delektuj się tym konkretnym posiłkiem, w tej restauracji, w której złożyłeś zamówienie – w domyśle: przyjdź tu kiedyś ponownie. Lecz co takiego miałyby znaczyć *enjoy your life*, „ciesz się swoim życiem”?

Tylko Bóg może się cieszyć życiem innych. Cieszenie się życiem innych istot, w ich odrębności, jest zdolnością wyłącznie Najwyższego Stwórcy, nad którym nie ma nic nadrzędnego. Poprzez dogmat o Trójcy Świętej chrześcijanie wierzą wręcz, że Bóg jest właśnie tym: cieszeniem się istnieniem jednego poprzez drugie, co więcej, wyłącznie poprzez to drugie. Lecz to właśnie jest niemożliwe, jeśli przyjmujemy pierwsze zdanie omawianego hasła, tj. jeśli podzielimy punkt widzenia niewierzących.

Obecność tego niepotrzebnego, redundantnego zaimka jest czymś w rodzaju freudowskiej pomyłki, która ujawnia więcej, niżby chciał mówiący. Zdanie to wyraża z całą jasnością i precyzją, choć zapewne w sposób niezamierzony, wewnętrzną logikę ateizmu. Jeśli Bóg nie istnieje, żyjący ludzie mają niezbywalne prawo cieszyć się życiem;

życiem, które należy do nich. Powinni oczywiście przestrzegać przy tym zasad moralności, co obowiązuje przecież każdego, bez względu na poglądy dotyczące Boga. Jest jednak coś, czego w żadnym wypadku nie powinni robić. Nie mogą przymuszać innych do cieszenia się życiem. Byłaby to okropna zbrodnia: wzywać ludzi, których opinii nie mogą poznać, do życia, co do którego nie mogą stwierdzić z całą pewnością, że będzie szczęśliwe.

Być może inne hasło pomoże nam lepiej to zrozumieć. Zostało przedstawione tak samo jak to, które omawiam w tym artykule, a które stanowi punkt wyjścia dla wszystkich innych tego typu. Małe dziecko mówi: „Proszę, nie szufladkuj mnie. Pozwól mi dorosnąć i wybrać samodzielnie”. Czyli: nie dawaj swoim dzieciom żadnego wychowania religijnego; same dokonają wyboru, gdy będą starsze. To sugeruje, że religijne wychowanie, posyłanie dzieci na katechezę, może im odebrać wolność wyboru, co przeczy faktom...

Ale nie w tym rzecz . Mimo usilnych starań nie znalazłem żadnego plakatu z zaleceniem: „Nie mów do swoich dzieci, niech wybiorą swój ojczysty język, gdy dorosną”. Ani takiego: „Nie karm swoich dzieci, niech same zdecydują, co chcą jeść, gdy dorosną”. W końcu poszukałem takiego: „Nie ródź dzieci. Poczekaj, aż same poproszą, by się narodzić”. Spotkał mnie niestety zawód. Ciekawe dlaczego, skoro logika jest w zasadzie taka sama...

Obecnie wiele się mówi o sekularyzmie. Nie wiem, czy nasze społeczeństwa rzeczywiście są zsekularyzowane, a nawet jeśli są, to o które rozumienie słowa „sekularyzm” tu chodzi. Chciałem tylko powiedzieć kilka słów o hasle, które było przedmiotem mojej analizy

jako deklaracja ludzi określających samych siebie mianem obrońców sekularyzmu. Te kilka słów sprowadza się w zasadzie do jednego: hasło z autobusu ilustruje sposób myślenia niewierzących lepiej, niż im się wydaje.

Słowo „sekularyzm” pochodzi oczywiście od łacińskiego *saeculum*. Nie wystarczy powiedzieć, że to łacińskie słowo znaczy „stulecie”. Pierwotnie oznaczało bowiem najdłuższy czas życia człowieka, podobnie jak greckie *aion*. Dopiero później zaczęto rozumieć wiek tak jak współcześnie, to znaczy jako okres około stu lat. W języku chrześcijan *saeculum* wskazuje na doczesny świat, przeciwstawiony światu, który ma nadejść. To przesunięcie znaczenia bierze się stąd, że chrześcijanie żywią nadzieję, która przekracza to, na co ludzie normalnie mogą mieć nadzieję w swoim życiu. Według nich życie, które wiemy w ramach wyznaczonych przez maksymalny czas ludzkiej egzystencji, ma się dopełnić w „życiu wiecznym w przyszłym świecie” (*hayyey ha-‘olam ha-ba’, vita venturi saeculi*).

Idąc tym tropem – sekularność to dosłownie to, co nie wykracza spojrzeniem dalej niż na sto lat do przodu – to ma być granica ludzkich ambicji. Osoba zsekularyzowana to ktoś, kto cieszy się życiem, własnym życiem, i kto nie może, jeśli jest choć trochę konsekwentny czy konsekwentna, poszerzyć swojej perspektywy tak, by objąć nią innych. Oto wielka zasługa sekularyzmu – wiedza o własnej zgubie, więcej – samodzielne dążenie do własnego końca.

Rémi Brague

Tekst ukazał się w 6. numerze Teologii Politycznej
- przetłumaczyła Magdalena Horodeńska-Ostaszewska

Przyjdź na spotkanie z Remim Brague'iem "Karne czy Boskie"
wokół książki *Prawo Boga*

[1] W oryginale: THERE'S PROBABLY NO GOD. NOW STOP WORRYING AND ENJOY YOUR LIFE (przyp. tłum.).

[2] Parsowie wyznają zoroastryzm (przyp. tłum.).

[3] Zachowuję kolejność rozważań według szyku oryginalnego zdania angielskiego (przyp. tłum.).

[4]H. Heine, *Briefe über Deutschland*, [w:] tegoż, *Zur Geschichte der Religion und Philosophie in Deutschland*, Frankfurt 1966, s. 210 (wyd. pol.: ..., [w:] tegoż, *Z dziejów religii i filozofii w Niemczech*, przeł. T. Zatorski, Kraków 1997, s....).

[5] B. Brecht, *Die Geschichten von Herrn Keuner* („Przypowieść o panu Keunerze” – jedna z serii aforystycznych opowiadań Brechta – przyp. red.).

[6] Epikur, *List do Pytoklesa*, §85.

[7] Zob. m.in., obok wielu innych: M. Lilla, *The Stillborn God. Religion, Politics and the Modern West*, New York 2007, s. 52–53 (wyd. pol.: tegoż, *Bezsilny Bóg. Religia, polityka i nowoczesny Zachód*, przeł. J. Mikos, Warszawa 2009, s. ...).

[8] Zob.: W. T. Cavanaugh, *The Myth of Religious Violence: Secular Ideology and the Roots of Modern Conflict*, Oxford et al. 2009.

[9] Chodzi o piosenkę pt. *Pack up your troubles in your old kit bag* (przyp. tłum.).

[10] Zob.: Arystoteles, *Etyka Nikomachejska*, III, 5, 1113a25–33; S. Kierkegaard, *Tre Taler ved tænkte Leiligheder, 3: Ved en Grav*, [w]: tegoż, *Skrifter*, Kopenhaga 1998, t. 5, s. 452.

[11] Mam tu na myśli *Revoilà Zig et Puce* Alaina Saint Ogana.

[12] Ch. P. Baudelaire, *Paryski spleen*, przeł. J. Guze.

[13] Zobacz: św. Augustyn, *De doctrina christiana*, I, iv, 4; BA, Bd. 11/2, s. 80.